



„TRADSI” W NOWEJ EWANGELIZACJI

Arkadiusz Robaczewski

Nikt nie spodziewa się, że w poszukiwaniu środków Nowej Ewangelizacji, które się właśnie odbywa, ktoś będzie usiłował zatrzymać albo zawrócić bieg czasu. Taka obawa jest czasem wyrażana przez tych, którzy zauważają coraz większą żywotność tzw. środowisk Tradycji katolickiej. „Nie da się wrócić do tego, co było” – wyrokuja, machając na tradycyjne środowiska ręką. Jednak same te środowiska, wbrew temu, co się im nieraz, z pewnością nazbyt często, zarzuca – wcale nie tęsknią za minioną epoką. Przeciwnie, tak jak wszyscy apostołowie i ewangeliczni konkwistadorzy sięgają w daleką przyszłość, a nawet poza czas – w wieczność.

Skazani na skansen?

Ostatnie skojarzenie, jakie może przyjść do głowy, to skojarzenie Nowej Ewangelizacji z tradycjonalizmem i środowiskami kształtującymi swe życie w oparciu o tzw. starą Mszę. Z tymi, którzy szanują i dostrzegają wartość i niezmienną tradycyjnej (przedsoborowej) doktryny, a w swoich domach praktykują katolicki obyczaj zupełnie tak, jak praktykowali ich dziadkowie i pradziadkowie. Dominuje bowiem pojęcie nowej ewangelizacji, która każe ją widzieć jako zerwanie ze wszystkim, co stare – ze starą, oczywiście „skostniałą i niezrozumiałą” liturgią, ze starą, nieprzystającą do dzisiejszych czasów doktryną, z obyczajowością, która, jak niektórzy mniemają, była zbiorem zewnętrznych praktyk, może i cennych, nawet z sentymentem wspominanych, pozbawionych jednak „ducha”, spełnianych mechanicznie i z przyzwyczajenia.

To oczywiście znacznie uproszczony rys, raczej potoczna opinia niż to, co sądzą odpowiedzialni za Nową Ewangelizację. Faktem jest jednak, że wspólnot tradycyjnych nie tylko nie uwzględnia się w planach ewangelizacyjnych Kościoła; nie widzi dla nich miejsca w ogóle, co najwyżej tolerując ich inercyjną egzystencję gdzieś na obrzeżach parafii, poza niedzielными godzinami celebracji, pozwalając czasem na sprawowanie Mszy wówczas, gdy pozostali parafianie właśnie zasiadają do obiadu albo wybierają się na rodzinny spacer.

Czasem bywa i tak: Wierny zwraca się do kapłana, który za jakiś czas ma sprawować Mszę św., tradycyjną w jakiejś szczególnej intencji rocznicowej, a który przy parafii prowadzi oficjalnie, za zgodą ordynariusza duszpasterstwo środowisk Tradycji:

- *Przecież o tej Mszy na pewno ksiądz proboszcz ogłosi chętnie w parafialnych komunikatach*
– *mówi, w swej prostej naiwności wierny.*
- *Nie ogłosi – odpowiada ksiądz. O niczym nie ogłosi, nie ogłosi ani o adoracji, ani o spotkaniu, ani o pielgrzymce. A jak inny parafianin zapyta o coś „od nas”, powie, że on nic nie wie.*

To obrazek z codzienności życia tzw. duszpasterstw tradycji umieszczonych przy parafiach. Dobrze, jeżeli jest

Msza (niemal zawsze w porze obiadowej), dobrze, jeśli jest co tydzień, a nie „w co czwartą niedzielę każdego parzystego kwartału”.

Czy ta rzeczywistość świadczy o tym, że wspólnoty tradycyjne, przebijające się przez warstwy betonu niechęci i asfaltu niezrozumienia na dzisiejszej cywilizacyjnej pustyni, skazane są, cichym wyrokiem, na śmierć? A jeśli, bo wszystko na to wskazuje, wyrok taki rzeczywiście zapadł, to czy ma on dostateczne uzasadnienie? Czy wspólnoty tradycyjne rzeczywiście zasługują na wyginięcie?

Kim są „tradi”? Pytania u progu Roku Wiary

Nawet nie wypada osobom wierzącym dawać świadectwa w miejscu pracy, w rodzinie. Wierzący artyści, sędziowie, lekarze, nauczyciele – jeśli tylko w jakiś sposób mają odwagę świadczyć o swej wierze – natychmiast są ostrzeliwani; czasem tylko w miejscu, w którym się znajdują, a czasem sprawa staje się publiczna i wówczas lecą pociski różnego kalibru, wszelkich rodzajów broni i ze wszystkich stron. To samo zresztą dotyczy kapłanów i biskupów, którzy z faktu swojego kapłańskiego i biskupiego zobowiązania wyciągają ostateczne konsekwencje.

Nie ma już społeczeństwa chrześcijańskiego w Europie. Są wyspy, które czasem tworzą archipelag ortodoksji radykalnej – bardzo jest mi bliskie to sformułowanie Pawła Milcarka. Dodałbym jeszcze że ta ortodoksja rodzi także radykalną ortopraksję – w dziedzinie moralnej, liturgicznej, obyczajowej.

Elementy składowe tego archipelagu to nadzieja nowej ewangelizacji. Czy jest tam miejsce dla środowisk tradycyjnych? Dla tych pączkujących duszpasterstw wiernych tradycji łacińskiej? Czy oni mają do zaproponowania światu coś więcej niż koronkowe alby i komże, skrzypcowe ornaty, gorliwe okadzanie ołtarza i Mszę po łacinie, czyli w języku, którego „nikt już dziś nie rozumie”?

Kim są tzw. „tradi”? Czy rzeczywiście mogą coś wnieść w misję Kościoła, we współczesnym świecie? W to, by Ewangelia i przesłanie o Synu Ofiarującym się Ojcu i rodzącym nas przez to do wieczności – wybrzmiało w dzisiejszym świecie z nową siłą, wyrazistością, nie pozwalającą się oddalić oczywistością i prawdą?

Stawiam te pytania u progu Roku Wiary, do którego ogłoszenia pretekstem stała się rocznica, pięćdziesiąta już, zwołania Soboru Watykańskiego II.

Te dwa wydarzenia, rocznica soboru i Rozpoczęcie Roku Wiary, łączy się ze sobą z istotnych racji. Do niedawna Sobór Watykański II można było w mowie i wypowiedziach publicznych traktować wyłącznie jak zmarłych – nihil, nisi bene, albo nic, albo tylko dobrze. Jeśli nawet zdarzały się (a zdarzały się!) wypowiedzi co bardziej światłych hierarchów, nakazujące ostrożność i rzetelność, dzięki którym moglibyśmy dostrzec także ciemne strony soboru, smutne jego konsekwencje – były one traktowane per non est. Dominował i dziś również dominuje tryumfalizm iście „przedsoborowy” w mówieniu o Vaticanum II – kategorie nowego tchnienia Ducha, nowych Zielonych Świąt, czy „największej rewolucji” – to najczęstsze radosne sformułowania używane wobec Vaticanum II.

Jednocześnie Rok Wiary ogłoszony przez Benedykta XVI nie jest ogłaszany przy dźwięku fanfar, oznajmających sukces i rozkwit wiary, a także obecność chrześcijańskich zasad, według których żyją kontynenty i narody. Przeciwnie, motu proprio Benedykta XVI, wprowadzające w Rok Wiary, pełne jest wyciszenia i wskazywania, że trzeba wiele rzeczy zacząć „od nowa”. Nie w takim znaczeniu, jak codziennie od nowa zaczynamy zmagać się z trudnościami drogi, idąc do jej kresu. Raczej chodzi tu o rozpoczęcie niektórych dróg od nowa, jak po fałstarcie, albo po odkryciu, że droga, którą zaczęliśmy kroczyć – prowadzi donikąd. Zatrzymujemy się wówczas, zawracamy i zaczynamy od nowa.

Bo oto okazało się, że pięćdziesiąt lat po Soborze Watykańskim II „wiera nie jest już oczywistą przesłanką życia wspólnego”. Choć zapewne nie taki cel – zniszczenia „wiary jako przesłanki życia wspólnego”, przyświecał ojcom soborowym.

Otwarcie Roku Wiary towarzyszą też synody i konferencje na temat nowej ewangelizacji. To każe przypuszczać, że za tymi aktami stoi ukryta przesłanka, że stara ewangelizacja, ta dokonywana przez ostatnie 40 lat, zupełnie się nie powiodła, albo z jakiś innych przyczyn należy ją wymienić i zastąpić „nową”. Zapewne, to słuszny postulat, bowiem zasady chrześcijańskie, przynajmniej w starym świecie znikają z życia indywidualnego i, co za tym idzie, ze społecznego.

W społeczeństwach Zachodu zupełnie niezrozumiały stał się obowiązek, jaki ma stworzenie wobec Stwórcy – oddawanie czci Panu Bogu. Niezrozumiała jest konieczność Kościoła do osiągania zbawczych łask, czy nadprzyrodzoność liturgii i jej niezbędność w uświęcaniu naszej codzienności jej oddziaływania w życiu. Nie wspominając już o niezrozumieniu dla takich „drobiazgów” jak czystość przedmałżeńska, istotowe zło antykoncepcji lub to, że codzienne życie jest realną walką o kształt naszej wieczności i domaga się specjalnych środków: ascezy, pokuty, ofiarnej modlitwy, jałmużny. Te oczywistości, rdzenie wiary indywidualnej i opartego na niej życia społecznego, zostały zmiecione doszczętnie przez „ducha soborowej odnowy”.

Nikt nie spodziewa się, że w poszukiwaniu środków nowej ewangelizacji, które się właśnie odbywa, ktoś będzie usiłował zatrzymać albo zawrócić bieg czasu. Taka obawa jest czasem wyrażana przez tych, którzy zauważają coraz większą żywotność tzw. środowisk Tradycji katolickiej. „Nie da się wrócić do tego, co było” – wyrokują, machając na tradycyjne środowiska ręką. Jednak same te środowiska, wbrew temu, co się im nieraz, z pewnością nazbyt często, zarzuca – wcale nie tęsknią za minioną epoką. Przeciwnie, tak jak wszyscy apostołowie i ewangeliczni konkwistadorzy sięgają w daleką przyszłość, a nawet poza czas – w wieczność.

Po czym można rozpoznać u tzw. tradsów ten brak przywiązania do przeszłości, a właśnie dynamizm nakierowany na przyszłość, tę bliższą i tę dalszą, aż do wieczności,?

Najpierw – po ich wielkiej czci do liturgii w ogóle, a do Mszy świętej w szczególności. Spotyka się ta cześć, powierzchownie odbierana, z niezrozumieniem, czasem z braterską kpiną: Naprawdę myślisz, że Pan Bóg zwraca uwagę na formy? Wierzysz, że Pan Bóg lepiej rozumie po łacinie niż po polsku?” „To jak ksiądz nie ma koronki przy albie – znaczy cała Msza nieważna? Łatwo, rzecz jasna, zrezygnować z wysiłku zrozumienia, a w końcu niezrozumiałą postawę i nieudzielający się wewnętrzny żar, załatwić byle jaką kpiną. Albo skwitować: Phi, po łacinie nie rozumiem, na szczęście był sobór i teraz mamy w kościele wszystko po polsku.

Msza na każde czasy!

Msza trydencka, ta po łacinie i tyłem do ludu – to Msza na każde czasy! Także na „te” czasy: czasy nowej ewangelizacji. Także na te, które dopiero nadejdą, niezależnie od tego, jaki przybiorą kształt. W każdych czasach jakkolwiek szansę wiązania człowieka z Bogiem, także pomocy w wykonywaniu jego podstawowego obowiązku – oddawania czci Bogu, ma wyłącznie taka liturgia, która nie jest z tego świata, nie jest jego fabrykatem, co więcej – taka, która jest obca duchowi tego świata i duchowi czasu. Słowem – liturgia nieprzystosowana! Nieprzystosowana do nowych czasów i do mentalności współczesnego człowieka, cokolwiek to oznacza. Tylko taka, żadna inna! Wciągnięcie ducha tego świata do liturgii, próby czynienia z niej rzeczywistości zrozumiałej dla tego świata jest iluzją, która, dziś widać to zupełnie wyraźnie, przynosi opłakane skutki. Liturgia stara uderza swą odmiennością wobec codzienności. Cisza, majestat, gesty, pietyzm wyrażony w szatach, śpiewie, dymie kadzidła – ukazuje niewyobrażalny dystans oddzielający Niebo od ziemi. Rzeczywistość starej Mszy i jest przy tym radykalnie inna, przeciwna wobec tego, co dzieje się w świecie. Świat jest pełen zgłębku i hałasu – Msza jest wypełniona ciszą. Świat jest pełen chaotycznych postaw i niskich zachowań – Msza uderza uporządkowanym majestatem. Świat rozbudza egoizm i skoncentrowanie na sobie, na każdym kroku stwarza okazje, by człowiek wznosił ołtarzyki, na których będzie czcił sam siebie – na Mszy kłękamy przez Majestatem Boga i siebie, wraz z Jego Synem – ofiarujemy. Duch ofiary jest niewątpliwie „nie z tego świata”. Jeśli Kościół i chrześcijanie mają „żyć w świecie, ale nie dla świata”, mają być „znakiem, któremu sprzeciwiać się będą” – Msza św. w tradycyjnym rycie w sposób doskonały do takiej postawy usposabia. To święta liturgia rzymska, jak tego dowodzi historia – jest w stanie przetrwać walący się świecki porządek i przez burze dziejowe i walące się cywilizacje – przenieść nietkniętą wiarę. Czy ci, którzy z niej czerpią, ta Mszą żyją, w jej rzeczywistości oddychają – nie są narzędziami nowej ewangelizacji?

Kiedy w 2007 roku ojciec św. potwierdzał w motu proprio *Summorum Pontificum* pełne prawa Mszy św. Trydenckiej, raz jeszcze wyrażając wolę, by była sprawowana bez ograniczeń, które w ostatnich dziesięcioleciach narosły, pojawiły się wówczas głosy, że jest to akt łaski wobec lefebrystów, czy też tych, którzy „wciąż są przywiązani do dawnych form liturgicznych”. Że to dla tych, którzy „w ewangelicznym marszu zatrzymali się przy formach i nie dają się prowadzić Duchowi”. Takie jednak odczytanie chyba nie było oddaniem treści prawa zawartego w *Summorum Pontificum*. Benedykt XVI, jak mało kto przenikliwie widzi krajobraz spustoszenia i potrzebę „nowej ewangelizacji” na terenach, gdzie niegdyś rozkwitało chrześcijańskie życie. Akt przywrócenia do pełni praw „starej Mszy” odważnie wpisuje się w program nowej ewangelizacji. Bowiem ta Msza ewangelizowała świat – była odprawiana we wspaniałych katedrach, cichych klasztorach i w lichym Ars, w stodołach i barakach, na polach bitew, w kościołach w większych i większych miastach, a także wszędzie tam, dokąd docierali misjonarze z Ewangelią. Dlatego, jeśli papież przywraca, a jego współpracownicy zabiegają, by była jak najpowszechniej sprawowana, sprawowana, jak ujął to Dario kard. Castrillon Hoyos, „w każdej parafii”, to nie po to, by tworzyć konkurencję wobec nowego *ordo Missae*, ale by na nowo ewangelizować świat przez liturgię, która sprawdziła się w tym dziele od czasów Imperium Rzymskiego aż po XX wiek i która tak wyraźnie i niepodważalnie stawia Chrystusa w centrum i Bogu Jedynemu oddaje cześć. Taki jest sens podstawowy, zasadniczy „powrotu do starej Mszy”. Ustawienie Chrystusa składającego z siebie Ofiarę Ojcu i rodzącemu Miłość – ponownie w centrum świata.

Tradycyjny wyż demograficzny

Inny, wcale nieodległy od ofiarniczego charakteru Mszy św. znak przyszłościowego dynamizmu środowisk tradsów to ich dietność. Powszechna jest opinia, że w Kościele dwie grupy są szczególnie płodne – uczestnicy wspólnot neokatechumenalnych i właśnie tradsi. Widać to w niedzielę i święta, gdy pod kaplice i kościoły, w których sprawowana jest stara Msza, podjeżdżają wieloosobowe vany, czasem całkiem nowe, a czasem z demobilu, żartobliwie zwane tradibusami. Z pewnością ten fakt zasługuje na duszpasterską uwagę w kontekście nowej ewangelizacji. Rośnie nowe pokolenie żarliwych katolików, kształtujących swą wiarę, nie z własnego wyboru, poza parafią, często z tej parafii wyrzucanych. Jest tu duszpastersko sporo do nadrobienia, o czym świadczą opowieści krążące pośród tradsów. z jaką żarliwością, pokonując niezrozumiałe przeszkody, musieli walczyć o zgodę proboszcza czy kurii biskupiej na Chrzest św., czy Pierwszą Komunię po staremu. To prawo wciąż jest niezrozumiałe reglamentowane, mimo że taka reglamentacja jest właśnie łamaniem prawa, co potwierdziły jednoznaczne rozstrzygnięcia Stolicy Apostolskiej, gdy pokrzywdzeni w biurach parafialnych i kuriach biskupich wierni o takie rozstrzygnięcia prosili. Szkoda, bo tradsi, wciągnięci w życie parafii, w życie lokalnego Kościoła nie wypychani z niego, mogli by wprowadzić prawdziwie ożywczy dla nowej ewangelizacji nurt. Ożywczy, bo każdy, kto ma wewnętrzny żar, nie tylko w jego świetle kształtuje swoje życie, ale też zapala nim innych. Chodzi o ten żar, przed nieobecnością którego przestrzega Benedykt XVI: Chrześcijanin nie może być letni! Przed tym, jako największym niebezpieczeństwem dla chrześcijaństwa, ostrzega Apokalipsa. Ta letniość bowiem dyskredytuje chrześcijaństwo. Tymczasem wiara powinna być w nas ogniem miłości, płomieniem, który rzeczywiście ogarnia moje jestestwo i tak przechodzi na innych. To jest metoda ewangelizacji: prawda staje się we mnie miłością, a miłość zapala jak ogień także bliźniego. Tylko tak, zapalając drugich ogniem własnej miłości, rzeczywiście rośnie ewangelizacja, obecność Ewangelii, która nie jest już jedynie słowem, ale rzeczywistością, którą się żyje.

Jak szukać wyjaśnienia do znoszenia trudów przywiązania do dawnych form liturgicznych? Jak wytłumaczyć to, że rodziny z dziećmi przemierzają czasem miasto z jednego krańca na drugi, a czasem kilkadziesiąt kilometrów, by wziąć udział w Mszy trydenckiej? Albo że mają siły wyklócać się ze swoimi proboszczami, antyszambrować w pokojach kurialnych, by uzyskać zgodę na Chrzest, Pierwszą Komunię św., delegację na ślub w dawnym rycie? Niektórzy sądzą, że powoduje nimi estetyzm połączony ze snobizmem. Zatem, do tego wszystkiego znoszą tradsi dodac trzeba jeszcze formułowane przy tej okazji uwagi o braku pokory i chęci wyróżnienia się za wszelką cenę. Tymczasem to nie tak, zupełnie nie tak! Najczęściej szukają starej liturgii i pragną w oparciu o nią kształtować swe chrześcijaństwo, swe ziemskie powołanie, bo widzą, że w niej nic nie zakłóca aktu Ofiarowania się Chrystusa Ojcu. Że dzięki tej liturgii, tak „mocnej” w swym przekazie, mogą zachować i rozwijać żarliwą wiarę w antychrześcijańskim świecie. Zapewne są tak zdeterminowani, bo za swoje przyjąłoby słowa bpa Atanazego Schneidera: Obrzęd i każdy szczegół Świętej Ofiary Mszy musi być skupiony na wychwalaniu i adorowaniu Boga przez naleganie na centralność obecności Chrystusowej, czy to

w znakach i przedstawieniu Ukrzyżowanego, czy to w jego postaci Eucharystycznej w tabernakulum, a zwłaszcza w momencie Konsekracji i Komunii Św. Im bardziej jest to respektowane, tym mniej miejsca zajmuje człowiek w centrum celebracji, tym mniej celebracja wygląda jak kółko skupione na sobie. Raczej, jest ona otwarta na Chrystusa w procesji zmierzającej ku Niemu z kapłanem na czele; taka procesja liturgiczna będzie najwierniej oddawać ofiarę adoracji Chrystusa ukrzyżowanego; owoce pochodzące z chwalenia Boga i trafiające do dusz wiernych będą bogatsze, Bóg będzie bardziej je cenił.

Tradz łaknie duszpasterstwa

Na takim chrystocentryzmie zasadza się wkład wiernych tradycji łacińskiej w nową ewangelizację. Byliby w niej zapewne jeszcze bardziej skuteczni, gdyby nie pewna bolączka, o której wspomniałem na początku: brak regularnego duszpasterstwa. Przybywa miejsc, gdzie Msza po dawnemu się odprawia, przybywa młodych, wywodzących się ze środowisk tradycyjnych, księży, ale oni, w ramach struktur parafialnych, rzadko mają okazję stać się duszpasterzami tradsów. Tam, gdzie Msza starsza się odbywa, nie ma miejsca w parafii na dodatkowe duszpasterstwo – rzecz ogranicza się do Mszy, a o spotkaniach formacyjnych, rekolekcjach – nie ma już mowy. Tradsi są często jak owce bez pasterza. Uzupełniają te braki w domu. Modlą się razem całymi rodzinami, zawiązują między sobą Koła Różańcowe, organizują, na poły formalnie rekolekcje i spotkania z kapłanami. I studiują. Specyfiką tradycjonalistów jest też większa niż u innych wspólnot, uwaga kierowana na doktrynę Kościoła. Są pośród nich osoby, które na własną rękę oddają się studiowaniu św. Tomasza z Akwinu i klasycznej filozofii, z zapałem czytają dokumenty soborów, teksty Ojców i Doktorów Kościoła a także papieskie encykliki oraz apologetyczne podręczniki. To niewątpliwie, w stanie dzisiejszego powszechnego nieuctwa, analfabetyzmu religijnego, a także chaosu doktrynalnego i, co za tym wszystkim idzie – rażącej, nawet porażającej, miałości w sposobie przekazywania wiary choćby na katechezie w szkole, całkowitego niemalże barku tejże dla dorosłych wiernych – rzecz trudna do przecenienia. Dzięki takim samodzielnym studiom Kościół zyskuje nie tylko ludzi czerpiących i budujących swą wiarę w oparciu o nieskażoną chrystocentryczną liturgię, usprawniającą do składania ofiary ze swego życia Bogu i drugiemu człowiekowi w rodzinie, w służbie publicznej, ale także zdolnych bronić tej wiary i Kościoła, wzór do apologii czerpiąc od prawdziwych, a dziś zapomnianych lub lekceważonych mistrzów.

Wierni jak pies!

Tradycjonałisci nie są przy tym, wbrew obiegowej opinii, buntownikami i narzekaczami. Wobec swoich pasterzy – proboszczów, wikarych, są jak wierny pies – pan może go czasem obłożyć kijem i przepędzić, ale on i tak temu panu będzie wierny i będzie mu służył. I często zdarza się tak, że to właśnie zwolennicy Mszy tradycyjnej bronią swego Proboszcza przed napastliwymi parafianami, którzy mają do niego mnóstwo pretensji o to, czy tamto. To tradycjonałisci stają w jego obronie, mimo że ten Proboszcz o Mszy trydenckiej w swojej parafii nawet nie chce słyszeć. Podobnie bywa i z postawą tradycjonalistów wobec biskupów – są pierwszymi, którzy bronią czci swych pasterzy, nawet jeśli, delikatnie mówiąc, nie zaznali od nich wcześniej niczego dobrego.

Czy Kościół hierarchiczny, poprzez swe struktury, doceni wspólnoty tradycyjnych katolików? Pan Jezus się o nie troszczy, troszczy i Marka Bożą, a także aniołowie. To pewne, i w zasadzie – wystarczające, choć w warunkach ziemskiej walki, czy ziemskiego pielgrzymowania byłby pożyteczny widzialny znak w postaci życzliwości i zrozumienia ze strony tych, którym Chrystus powierzył szczególną troskę o zbawienie dusz. Tak czy inaczej, ze wsparciem czy bez – wspólnoty tradycyjne są w awangardzie nowej ewangelizacji. Choć z pewnością ktoś traci, gdy ich potencjał jest administracyjnie tłumiony i spychany poza domniemany obszar głównej bitwy. Jeden z kapłanów, wcale nie z tradycyjnego zgromadzenia, komentując tę sytuację powiedział niedawno: „Zdziwią się ci ślepi przewodnicy ślepych, jaka piękna budowla powstała z odrzuconych kamieni.”